

Zbuntowany który chronił

Aleksandra R. K. Stupera

Zbuntowany który chronił

Tom 3

 Szmaragdowe Pióro

Katowice 2025

Copyright © Aleksandra R.K. Stupera, 2025
Copyright © Wydawnictwo Szmaragdowe Pióro, 2025
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja: Kinga Rak i Karolina Brzuchalska | Twarda Oprawa
Korekta: Andrea Smolarz | pracownia edytorska Żółć
Skład i łamanie: Iza Pisarek-Godawa | Skład z wyrazem
Projekt ilustracji i elementów graficznych:
Karolina Żuk-Wieczorkiewicz
Projekt i przygotowanie okładki do druku:
Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

ISBN: 978-83-959373-9-2

Szmaragdowe Pióro

kontakt@szmaragdowepioro.pl
szmaragdowepioro.pl
facebook.com/SzmaragdowePioro/
instagram.com/szmaragdowe_pioro/

szmaragdowepioro.pl/newsletter/

Druk i oprawa: Sowa sp. z o.o.

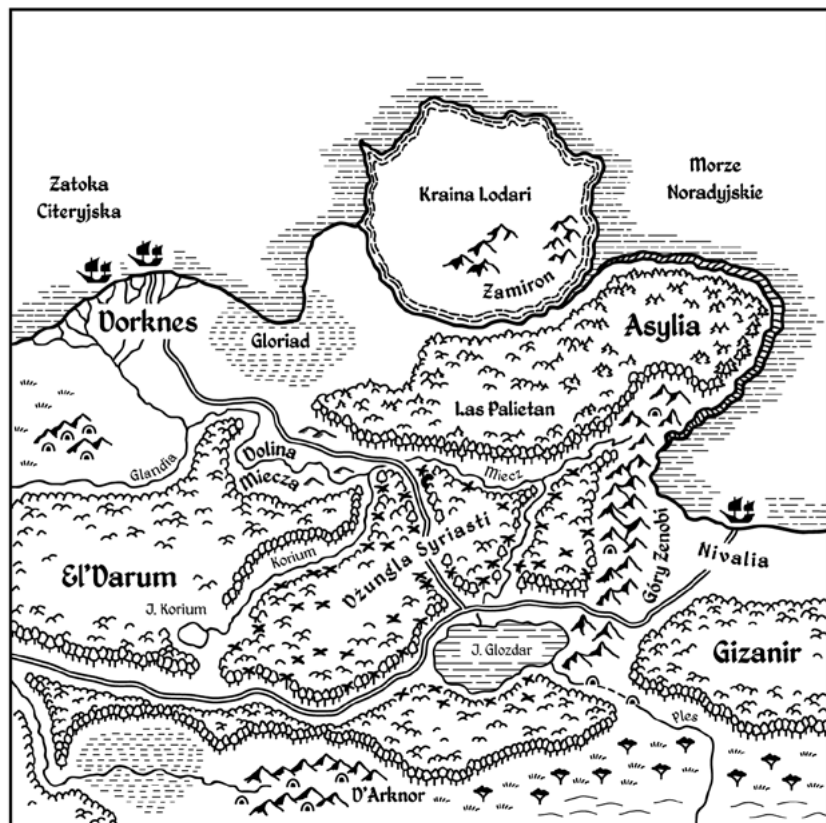
Spis treści

Rozdział I	11
Rozdział II	39
Rozdział III	51
Rozdział IV	75
Rozdział V	95
Rozdział VI	109
Rozdział VII	127
Rozdział VIII	147
Rozdział IX	163
Rozdział X	177
Rozdział XI	195
Rozdział XII	213
Rozdział XIII	229
Rozdział XIV	249
Rozdział XV	263
Rozdział XVI	285
Rozdział XVII	303
Rozdział XVIII	323
Rozdział XIX	341
Rozdział XX	357

Rozdział XXI	371
Rozdział XXII	385
Rozdział XXIII	405
Rozdział XXIV	421
Rozdział XXV	443
Rozdział XXVI	457
Rozdział XXVII	469
Rozdział XXVIII	497
Rozdział XXIX	517
Spis ras i ludów	531
Spis postaci	537
Spis stworzeń	541
Spis miejsc	543
Wierzenia	547
Słowniczek	549
Podziękowania	555

Moim Lwom

Północny wschód Kontynentu



Otrzyma ode Mnie wiele łask i darów.
Dam mu mądrość,
którą przewyższy mędrców
i z którą będzie podejmował dobre decyzje.
Dam mu odwagę,
dzięki której będzie gotowy poświęcać własne życie
dla innych.
Dam mu oczy,
które nie będą oceniać po pozorach
i uszy otwarte na wołanie potrzebującego.
Nigdy nie odrzuci ręki proszącego o pomoc
ani nie przejdzie obojętnie obok rannego.

Rozdział I

Nie ruszaj się – powtórzyłam i mocniej przycisnęłam czysty materiał do złocistobrązowej łapy. Losinis syknął, ale spróbował zatuszować to warknięciem.

– Miałaś mi pomóc, a nie zadawać dodatkowy ból – wytknął mi, a ogonem uderzył w ziemię.

– Gdybyś nie schodził ze ścieżki, jak radził Rameti, nie musiałabym teraz wyciągać kolców z twojej łapy – odpowiedziałam. – Ciesz się, że przynajmniej nie były trujące.

Ledwo opuściliśmy tereny El'darum, mraw zapragnął polowania. Jak sam stwierdził, nie chciał stracić swojego instynktu łowcy. Nie docierało do niego, że wciąż znajdujemy się za blisko elfich ziem. A Rameti przestrzegał go przed zagrożeniami czającymi się w tej części lasu. Losinis puścił jednak te słowa mimo uszu. Ledwo zesłam z jego grzbietu podczas popasu, a już rzucił się za pierwszym zającem, który pojawił się w zasięgu wzroku. Nie pokonał nawet połowy drogi, gdy nadział się na zwiniętego w kulkę ziewacza. Ryk, jaki poniósł się wtedy przez las, musiał

dotrzeć aż do pałacu elfiego króla – i dziadka Rametiego – Soratesa. Zwierzątko co prawda się poruszyło, ale zaraz znów znieruchomiało. Wiedziało, że przeciwnik już mu nie zagraża.

– I że nie ziewnął – dodał Rameti. – Nie zamierzałbym cię wlec przez cały dzień.

Nie pozwoliłam, by spór rozpoczął się na dobre.

– Został ostatni. Przygotuj się – ostrzegłam, zanim szarpnęłam za kolec, co nie obyło się bez ponownego warknięcia.

Cierń miał długość mojej dłoni, ale na szczęście nie przeszedł na wylot. Tak jak pozostałe łatwo się kruszył. Zdaniem Rametiego ziewacz musiał być chory lub wcześniej uszkodził sobie kolce. Inaczej by ich nie tracił.

Odrzuciłam cierń na bok, sięgnęłam po manierkę z winem i przemyłam głębokie, ale niewielkie rany. Potem nałożyłam masć z cenery i ziela kalendy, którą w tym czasie przygotował elf. Teraz stał jedynie obok i przyglądał się moim poczynaniom. Był jednak gotów, by w razie konieczności powstrzymać Losinisa przed odgryzieniem mi ręki. Do czego zresztą prawie doszło, gdy dotknęłam kolców za pierwszym razem.

– Już kończę. – Przewiązałam łapę bandażem. – Niedługo się zagoi.

– Jeśli znów się na coś nie nadzieje – rzekł Rameti bez emocji.

Powstrzymałam się przed westchnięciem. Podróżowaliśmy od kilku dni, a ci dwaj wciąż nie umieli nawet na chwilę postawić na rozejm. Nie miałam już sił, by zachęcać ich do tymczasowej zgody – choć zależało mi, by przyjaciel

dogadywał się z moim nauczycielem i obrońcą. Nie rozumiałam nawet, co wciąż prowokowało ich do utarczek i dogryzania sobie nawzajem. Zdawało mi się, że o czymś nie wiem, ale próby odkrycia powodu zawsze spełzały na niczym, więc sobie darowałam.

Pogłaskałam mrawa za uszami, zanim zdążył się odezwać.

– Nie ciągnij tego – poprosiłam go.

Skinął łbem. Nie znosił Rametiego i pewnie chętnie odgryzłby się za tę ostatnią uwagę, ale bardziej cenił sobie przyjaźń ze mną, więc tym razem się powstrzymał.

W myślach wspominałam ostatnie tygodnie. Nie mogłam uwierzyć, jak wiele się wydarzyło. Jeszcze tak niedawno przebywałam w domu, pomagałam w gospodarstwie i jedynie snułam marzenia o tym, by któregoś dnia opuścić rodzinne strony i wyruszyć w podróż po Kontynencie. Nigdy nie pomyślałabym, że to marzenie się ziści. I to tak prędko.

Ciekawość nieraz sprowadzała na mnie kłopoty. Uśmiechnęłam się mimowolnie na wspomnienie przygód z Azy-nem w Kłodri. Jednak tę rozpoczęłam sama. Wystarczyło, że usłyszałam o tajemniczej bestii w naszym lesie, a już musiałam sprawdzić, czy naprawdę się tam ukrywa. I ją znalazłam. A dokładniej – znalazłam mrawa. Rannego mrawa, którym się zaopiekowałam. Nikt nie potrafił pojąć, jak zdołałam przeżyć spotkanie z nim. Stworzenia te zwykle zabijały każdego, kto nie był elfem górskim. Ale Losinis mnie oszczędził.

Na samym opatrzeniu obrażeń się nie skończyło. Ranny czy nie, mraw i tak nie mógł zostać w lesie tuż obok

ludzkiej wsi. Poza tym pragnął odnaleźć swoich bliskich, a ja chciałam mu w tym pomóc. Z bratem przyprowadziliśmy go do El'darum, elfiego miasta w samym sercu Kontyentu. Po drodze nie obyło się bez przygód – z niektórych ledwo uszliśmy z życiem. Zdołaliśmy jednak w końcu cali i zdrowi dotrzeć do krainy elfów, w której czekały na mnie kolejne niespodzianki. Wpierw odkryłam, że brat nie jest moim rodzonym bratem, lecz Księciem Szaferim, prawowitym władcą Zalianii, który w Klodri znalazł schronienie przed Królem Nocy, Onyksem. Tym samym, który zamordował rodziców Księcia, a potem przejął bezprawnie władzę nad drugim krajem. Właśnie do jego wojska został powołany prawdziwy Serasz. Któreś wiosny opuścił rodzinne ziemie i nigdy już nie wrócił. A jakiś czas później w Klodri pojawił się Szaferi. Ranny i ledwo żywy. I uderzająco podobny do mojego brata, dzięki czemu mógł przejąć jego rolę w rodzinie. Sąsiedzi początkowo trochę się dziwili jego osobliwemu zachowaniu, ale złożyli to na karb wojennych przeżyć.

Odkąd poznałam prawdę, pragnęłam odnaleźć swojego brata i z nim porozmawiać. Do tej pory jednak mi się nie udało. Wciąż pamiętałam pierwsze spotkanie, gdy nawet nie wiedziałam, że to on. Razem z Szaferim i Losinsem byłam w drodze do El'darum. Nocą w pobliżu naszego obozu zawędrował zwiadowca służący Onyksowi – dopiero później dowiedziałam się, że był nim mój brat. Książę próbował cokolwiek z niego wyciągnąć, ale bezskutecznie. Zostawiliśmy go więc przywiązanego do drzewa i pod strażą mrawa, który kolejnego dnia do nas dołączył. Dopiero wtedy żołnierz mógł wezwać swoich towarzyszy na

pomoc. Od tego czasu już się nie spotkaliśmy. Miałam nadzieję, że jeszcze żyje.

W każdym razie Szaferi próbował odzyskać tron i ocalić poddanych. Szykował się też do ostatecznej walki, w której zamierzał zwyciężyć lub poleć. A przecież wojny lepiej nie prowadzić bez silnych sojuszników. Właśnie tu zaczęła się moja kolejna przygoda.

Wiedziałam, że Kontynent zamieszkiwało wiele ras, ale część z nich od dawna przeszła do legend. Wśród ludzi i innych ludów krążyły jednak pogłoski, że może nie są jedynie bajką, ale żywymi istotami, na które można liczyć w zbliżającej się walce. Niektóre elfy – jak Lisan, syn Soratesa, czy Rameti – nawet nalegały, by posłać do tych ras kogoś budzącego zaufanie. Na przykład zwyczajną dziewczynę, która zyskała sobie przyjaźń mrawa.

Takim sposobem mój pobyt w El'darum się przedłużył. Zaledwie parę dni wcześniej trenowałam szermierkę, lecznictwo, poszerzałam swoją wiedzę o językach oraz kulturze ekidów i attików, z których wywodzili się fati i odrzuceni. Przyswajałam wszystko, co tylko mogło mi się przydać w moim zadaniu. Aż w końcu opuściłam bezpieczne mury w towarzystwie Rametiego i Losinisa.

Nasz plan podróży był pozornie prosty. Wpierw mieliśmy się udać do drinów z Doliny Miecza – Sorates powiadomił ich o naszym przybyciu i towarzyszącym nam mrawie. Tutaj zamierzaliśmy uzupełnić zapasy, wypocząć i wypytać mieszkańców, czego możemy oczekiwać w dalszej drodze. Stąd też prowadziła najprostsza trasa do kolejnych naszych sojuszników, ekidów z Zamironu, do których zmierzaliśmy w następnej kolejności. Zamieszkiwali

najchłodniejsze tereny Kontynentu i znani byli ze skomplikowanej etykiety. A przy tym mogli nam wiele powiedzieć o fatich. Wieki temu – gdy jeszcze nie wiedzieli, jak radzić sobie z dokuczliwym zimnem – pewien Szkodnik odwiedził ich wioskę. Pokazał, jak tworzyć białe, grube futro, a potem odszedł. Wtedy nowe ubranie przylgnęło do ich ciał i prawie całkowicie je zakryło. Co więcej, w ogóle nie chroniło przed chłodem. Przemienieni ekidzi musieli więc opuścić rodzinne strony i przyjęli miano fatich, białych znikaczy. I to ich zamierzaliśmy odnaleźć po opuszczeniu Zamironu.

Później czekała nas podróż przez Las Palietan, a może nawet do Dżungli Syriasti. Wiele zależało od tego, gdzie uda nam się trafić na odrzuconych. Byli to attikowie, których starszyzna wypędziła z domów z powodu uszczerbków na ciele. Prawo bowiem nie miało litości i wystarczyło, że ktoś stracił palec, a już musiał opuścić wioskę. Dawniej taki człowiek stawał się posiłkiem drapieżników, ale odkąd powstał lud odrzuconych, każdy miał szansę na przeżycie.

Choć plan brzmiał prosto, wcale taki nie był. Podobno od wieków nikt nie widział fatiego czy odrzuconego na własne oczy. Dla większości mieszkańców Kontynentu ludy te były już jedynie legendą. A ja zamierzałam je odnaleźć i przekazać im wiadomość od Księcia z nadzieją, że pomogą nam pokonać Onyksa.

– Powinniśmy już ruszać – odezwał się Rameti. – Przed nami jeszcze sporo drogi, zanim dotrzemy do Doliny Miecza, a planowałam się tam znaleźć w ciągu dwóch tygodni.

– Mamy jeszcze dużo czasu. – Bezwiednie zaczęłam się bawić rzemykiem, na którym wisiał płatek rokany.

– I wystarczy nam go, jeśli nie będziemy musieli się zbyt często zatrzymywać. – Elf rzucił nieprzychylnie spojrzenie Losinisowi.

Mraw nieznacznie odsłonił kły.

– Zbierajmy się. – Ucięłam spór, zanim rozgorzał na dobre, i zajęłam się pakowaniem uzdrowicielskiego wyposażenia.

Rameti bez słowa odwrócił się do swojego wierzchowca, by poprawić popręg. Kary Yanes godził się na ten zabieg, choć jak zwykle wziął głęboki oddech, zanim elf przystąpił do działania. Każdy jeździec znał tę sztuczkę. Trzeba było poczekać, aż koń wypuści powietrze i wtedy zacisnąć pas. Gdy tylko wnuk Soratesa to uczynił, Yanes parsknął gniewnie.

– Nie chcę spać – szepnął do niego czule Rameti, pogłaskał nad chrapami i skrycie podał marchew.

– A mnie nie pozwalasz go dokarmiać – zauważyłam z delikatnym przytykiem.

– Już i tak bardziej woli ciebie niż mnie – powiedział, a na jego ustach dostrzegłam zarys uśmiechu.

Choć bywały chwile, że czułam się nieswojo przy wnuku Soratesa, to wspólna nauka w El'darum i podróż z posłannictwem nieco ociepliły naszą relację. Wciąż nie nazwałabym go przyjacielem, lecz umiałam już prowadzić z nim prawie tak swobodne rozmowy jak z Szaferim. Bywał jednak nieprzewidywalny. Czasami niespodziewanie się uśmiechał i żartował, a po chwili ciemne chmury powagi znów zasnuwały jego oblicze. Zastanawiałam się, jak Księżę wytrzymywał z nim podczas podróży. Ale to na Rame-tim polegałam każdego dnia. Dzięki niemu nie musiałam

przejmować się, czy znajdziemy wodę lub jedzenie – nasze suszone zapasy staraliśmy się oszczędzać, bo nigdy nie było wiadomo, co przyniesie kolejny dzień. Codziennie też piekliśmy placki nad ogniskiem lub na rozgrzanych kamieniach. Czasami dodawałam do nich szczyptę ziół, na co Rameti patrzył zwykle mało przychylnym okiem. Jego zdaniem powinniśmy je oszczędzać. Nie pojmował, że ta odrobina nie uszczupli zaledwie zapasów, a dobrze wpłynie na nasze zdrowie.

Yanes zerknął znacząco na mnie. Niemal wydawało mi się, że pyta:

– Ty też masz marchewkę, prawda?

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zbliżył się do mnie i powęszył w poszukiwaniu warzywa. Gdy przekonał się, że niczego nie ukrywam, w jego oczach pojawił się zawód.

– Przykro mi. – Pogłaskałam go po masywnym karku.

– Podobno mieliśmy ruszać – rzucił zazdrośnie Losinis, więc moja dłoń powędrowała na puszystą grzywę. Od razu zamruczał z zadowoleniem. – Wskakujesz?

Zawahałam się. Nie chciałam dodatkowo obciążać rannej łapy.

– Nie, Losinisie – powiedziałam po zastanowieniu i odsunęłam się od niego. – Nie, dopóki rana się nie zagoi.

– Przecież ją opatrzyłaś.

– Lepiej będzie, jeśli pójde na własnych nogach. I tak nie poruszamy się zbyt szybko.

Inny posłaniec ruszyłby na złamanie karku, by jak najszybciej dostarczyć wiadomość. W naszym przypadku wyglądało to inaczej. Jechaliśmy do ludów, które od wieków

skrywała mgła legendy. Musieliśmy zatem działać poważnie. Nie chcieliśmy, by Onyks poznał nasze zamiary.

Mraw nie wyglądał na przekonanego, ale nie zamierzałam zmieniać zdania.

– Też uważam, że tak będzie lepiej. Dodatkowy ciężar może pogorszyć jego stan – wtrącił się Rameti. – Wskakuj, a ja pójde.

Poważnie wziął sobie do serca to, że miał dbać o mnie i Losinisa podczas podróży, chociaż bywało to czasem nie do zniesienia. Miewałam wrażenie, że traktuje mnie jak prawdziwą siostrę Księcia, księżniczkę, z którą trzeba obchodzić się jak z jajkiem.

– Nie, też mogę iść – sprzeciwiłam się. – Yanesowi przyda się odpoczynek od jeźdźca, a Losinis powinien iść wolniej ze względu na łapę. Bez trudu dotrzymam wam kroku.

– Niech będzie – rzekł elf po dłuższej chwili. – Ale nie zostawaj w tyle.

Gwizdnął, a Yanes i Ellas, nasz juczny ogier, podeszli bliżej. Elf pogłodził karego po karku i odezwał się do niego tak cicho, że usłyszałam zaledwie szum słów, jakby wiatr hulał w koronach drzew. Yanes nie potrzebował więcej i zaczął iść na przedzie. Ellas miał podążać tuż za nami niby drugi strażnik pilnujący naszego bezpieczeństwa.

– Jeśli coś zauważą, ostrzegą nas. – Rameti ruszył za karym.

– Chodźmy – zwróciłam się do Losinisa. Położyłam dłoń na jego grzbiecie i ruszyliśmy ramię w ramię.

Tak jak się spodziewałam, mraw co chwilę się krzywił i od czasu do czasu jęczał, ale na tyle cicho, że nie dotarłoby to do mnie, gdybym się tego nie spodziewała.

Ścisnęłam go delikatnie i pokrzepiająco za skrzydło, po czym opuściłam rękę, by ułatwić sobie marsz.

Szliśmy dosyć uczęszczaną ścieżką na obrzeżach El'darum. Była na tyle szeroka, że mogłam iść obok mrawa i miałam obok siebie jeszcze trochę miejsca. Rośliny jednak nie do końca akceptowały tę drogę. Korzenie drzew wyrastały ponad ziemię, trawa i mech próbowały wdrzeć się na udeptany szlak, a gałęzie zwisały na tyle nisko, że jeździec na koniu musiałby się pochylać. Tym bardziej cieszyłam się, że zdecydowałam się iść.

Lasy ciągnęły się jeszcze kawałek na lewo od dróżki i kończyły niedługo przed rzeką Glandią. Na tym pasie właśnie były dozwolone polowania czy ścinanie drzew. Gdy tylko Rameti o tym wspomniał, nie zwlekałam z pytaniami.

– Słyszałem wiele domysłów – zaczął. – Pteisel twierdził, że Wielkie Drzewo nie jest w stanie objąć swoim działaniem większego obszaru. Sorates, że ten teren jest specjalnie wydzielony dla ludzi, którzy zamieszkaliby w naszych miastach. Podobno też ten szlak wyznacza granicę. Każda propozycja ma swoje racje. I żadna nie wyklucza pozostałych.

Zacząłam się zastanawiać, jak wygląda to w przypadku innych elfich ziem. Prędko jednak moje myśli zajęła inna kwestia.

– Kontynuujemy naukę? – zapytałam Rametiego.

Wyrzucił nas o kilkanaście kroków, ale wiedziałam, że nie muszę podnosić głosu. Słuch elfów był znacznie czulszy od ludzkiego, więc dotarłby do niego nawet mój szept.

– Na czym skończyliśmy przed polowaniem? – odezwał się, nieznacznie odwracając głowę.

– Zacząłeś mówić, jak mam się zachowywać, gdy znajdziemy się u drinów.

– I że niewiele różnią się od elfów górskich – dodał mraw. – Też nie znoszą ludzi.

Częściowo miał rację.

Rameti opowiedział nam historię drinów. Byli spokojną rasą, ale nie przepadali zbyt za ludźmi. Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się na ich ziemiach wieki temu. Dawniej te tereny nazywano Doliną Tysiąca Kwiatów, bo nikt nie znał piękniejszego miejsca, a do tego wiele roślin można było znaleźć tylko tutaj. Drinowie jak nikt inny mieli rękę do uprawy i ogrodnictwa. Pod ich okiem wszelkie zioła i kwiaty rosły wspaniale. Drzewa i zboża wydawały znacznie większe plony, żadne chwasty nie zagłuszały pożytecznych roślin. Mieszkańcy Doliny sprzedawali swoje zbiory głównie ludziom z Dorknes, a w zamian otrzymywali sól czy ryby, których sami nie mieli. Taki stan rzeczy mógłby trwać długo, gdyby do serca człowieka nie wkradła się zazdrość. Zaczęło się od tego, że mieszkańcy nadmorskiego kraju oskarżyli drinów o zawyżanie cen swoich produktów. Wtedy lud z Doliny obniżył je – kilka sztuk ryb czy woreczków soli nie stanowiło dla nich dużej różnicy, bardziej zależało im na przyjaźni z ludźmi. Widząc taki efekt, władca Dorknes, Lierion I, posunął się jeszcze dalej. Zażądał od nich większej ilości ziół wykorzystywanych do tworzenia lekarstw, a potem gotowych naparów i maści, z których mogliby korzystać jego poddani. Początkowo drinowie znosili te żądania cierpliwie i się na nie zgadzali, ale któregoś dnia mieli już dosyć takiego wykorzystywania i wstrzymali handel. Gdy Lierion

I dowiedział się o tym, wysłał do Doliny posłańca, który ostrzegł mały lud i kazał wznowić dostarczanie towarów do Dorknes. Jednak król drinów, Oszidre, nie zgodził się, co skończyło się zbrojną napaścią na ten kraj. Choć był to spokojny lud, w obliczu zagrożenia w ich sercach obudziły się prawdziwa odwaga i opór. Nie zamierzali łatwo oddać swoich ziem.

Ludzie uprowadzili zatem Oszidre'a. Związali go i przywieźli przed oblicze Lieriona. Ten kazał mu zrezygnować z dalszej walki, aby ocalić życie swoje i swoich poddanych. Król drinów nie przyjął propozycji. Nie należał do tchórzy, którzy uciekają z podkulonym ogonem. Wolał zginąć, niż oddać ziemię w ręce zbójów. Wtedy nastąpiło coś niespodziewanego. Gdy Lierion podnosił już rękę, by dać znak do ścięcia małego władcy, jego wzrok przykuła kłamra płaszczka Oszidre'a. Sam kazał ją wykuć i podarował królowi drinów jako znak swojej przyjaźni. Ten kawałek metalu przypomniał mu, że obiecał nigdy nie gnębić mieszkańców Doliny, ale zawsze przychodzić im z pomocą i wyciągniętą przyjaźnie ręką. Kaci czekali na znak, ale wtedy Lierion zerwał się, przystąpił do przyjaciela i uwolnił z więzów. Jednocześnie wydał rozkazy o zakończeniu rzezi. Tego samego dnia znów nastał pokój między dwoma rasami, a Lierion przysiągł, że nie dopuści, by coś podobnego wydarzyło się ponownie. W razie potrzeby zamierzał stanąć u boku Oszidre'a. Ponadto chciał, by ceny wróciły do poprzedniego stanu, a drinowie mieli otrzymać zaległe zapłaty i pomoc w odbudowie kraju. Po tej bitwie przepływająca przez Dolinę Tysiąca Kwiatów rzeka otrzymała na pamiątkę nazwę Miecz. Za to samą

dolinę z czasem zaczęto nazywać Doliną Miecza. Od tej pory drinowie podchodzą nieufnie do ludzi. Na szczęście z elfami leśnymi ciągle wiązała ich przyjaźń, podobnie jak dawniej z krasnoludami z Rogulanu. Jednak czas zaciętej walki między Księciem a Onyksem sprawił, że nikt nie był pewny, po czyjej stronie opowiedzą się mieszkańcy kopalń. A drinowie woleli nie ryzykować i zamknęli przed krasnoludami swój kraj.

Rameti zaczekał, aż do niego dołączymy, i dopiero wtedy podjął rozmowę.

– Tak, ale poza tym nic ich nie łączy. Drinowie nigdy nie zamieszkaliby w surowych jaskiniach, z dala od swoich pól i ogrodów. Nigdy też nie sięgnęliby po magię...

– Zapomniałeś o goblinach – przerwał mu Losinis.

– O tym nie wspomniałeś – zauważyłam. – Co gobliny mają wspólnego z drinami?

– Nie o tym mieliśmy mówić – zbył moje pytanie elf. – Wróćmy do kultury ludu z Doliny.

– Zaledwie wczoraj przypomniałeś mi, że nie powinienam zapominać o historii, a teraz sam chcesz ją pominąć.

– Drinowie nie lubią do tego wracać, więc lepiej, byś przypadkiem o tym nie napomknęła, gdy dotrzemy do Doliny – przestrzegł mnie.

– Będę ostrożna – obiecałam i niemal podskoczyłam radośnie na myśl, że Rameti jednak opowie mi coś więcej.

Czasami naprawdę trudno było go zachęcić do opowieści. Skupiał się na samej wiedzy i w przeciwieństwie do Szaferiego nie lubił wspominać o własnych podróżach. A to właśnie dzięki nim tak wiele wiedział o Kontynencie i jego mieszkańcach.

– Działo się to w poprzedniej Erze, zanim jeszcze elfy przybyły na Kontynent – rozpoczął.

Tak skupiłam się na jego opowieści, że ledwo zwracałam uwagę na drogę przed sobą. Zauważyłam jedynie, że Losinis też nastawia z zaciekawieniem uszu. Mógł mówić, co chciał, ale uwielbiał te historie. A Rameti przewyższał w sztuce opowiadania nawet Szaferiego, co niechętnie przyznawałam sama przed sobą.

– Nie wiem, kiedy dokładnie drinowie zostali powołani do życia, ale Custos stworzył ich z myślą o tym, by zadbali o rośliny, jakie zasadził na tych ziemiach.

Wierzyliśmy, że u Custosa wszystko miało swój początek: od źdźbła trawy, przez zwierzęta, aż po ludzi. I Opiekunów, którzy czuwali nad poszczególnymi rasami.

– Drinowie sami obrali sobie za mieszkanie piękną, zieloną dolinę, przez którą przepływała srebrzysta rzeka – kontynuował. – Jej szum był dla nich kołysanką, a śpiew ptaków budził ich każdego dnia, by znów mogli zabrać się do pracy, którą kochali. Poza moim ludem tylko oni tak uwielbiają przyrodę, szczególnie wszelkie rośliny. Nigdzie na całym Kontynencie nie znajdziecie równie niezwykłych kwiatów i drzew jak u drinów. Są tam zioła, które nie rosną nigdzie indziej, ale to już raczej wiesz od Pteisela.

Tak, słyszałam o tym od uzdrowiciela, a kilka roślin nawet poznałam. Przecież to właśnie kwiat złotnika z Doliny Miecza ocalił Losinisa, który podczas podróży zaraził się tavelą. Wśród ludzi choroba uchodziła za nieuleczalną – dopiero w El'darum dowiedziałam się, że tak nie jest. Gdyby nie ta roślina, nie wiadomo, czy mraw mógłby dziś podróżować z nami. I czy w ogóle jeszcze byłby wśród żywych.

– A co z goblinami? – spytałam.

Rameti zadumał się, jakby wciąż rozważał, czy dobrym pomysłem jest poruszanie tego tematu. Jednak nie mógł się już wycofać.

– Przed wojną z Dorknes do Doliny Tysiąca Kwiatów przybył Szkodnik pod postacią starego wędrowca. Zakrywał twarz materiałem, tłumacząc, że oszpecila go choroba, przez co wstydzi się swojego wyglądu. Nie chciał, by ktoś wyczytał z jego oblicza prawdziwe zamiary.

Właśnie przez Szkodniki magia panoszyła się po Kontynencie. Dawniej byli oni Opiekunami, ale potem odwrócili się od Custosa i siali zamęt, gdziekolwiek się znaleźli. Największy z nich, Malus, pragnął doprowadzić do ruiny wszystko, co znamy.

– W tamtych czasach drinowie witali każdego z otwartymi ramionami, więc i tego wędrowca przyjęli. Początkowo zachowywał się jak zwyczajny człowiek. Pomagał w uprawach, przyglądał się pracy mieszkańców i spacerował między ogrodami, o które lud dbał każdego dnia. W końcu jednak wtrącił się do ich życia. Zebrał wokół siebie kilku mniej zdolnych drinów i wmówił im, że jest Opiekunem, który przynosi ze sobą cenny dar. Dzięki niemu uprawa roślin nie sprawiałaby im tak wiele trudu, a praca by ich nie wyczerpywała. Nawet w pełnym słońcu mieli działać równie sprawnie jak o poranku. Obiecał, że pod ich okiem żaden kwiat już nigdy nie uschnie. Musieli tylko wyrazić chęć, by otrzymać ten skarb.

– Zgodzili się – wywnioskowałam.

– Część tak, zwłaszcza ci, którzy zazdrośnym okiem zerkali na uprawy sąsiadów. Pozostali się wahali, bo było

to dla nich podejrzane. Nigdy dotąd nie słyszeli, by Opiekunowie przychodzili z takimi darami. Dlatego powiedzieli, że przemysłą propozycję. Ale tamta garstka wystarczyła, by wprowadzić plan Szkodnika w życie. Kładł dłonie na kolejnych drinach, po czym zniknął, co dla wybranych było znakiem, że rzeczywiście należał do Opiekunów.

Elf przerwał i spuścił głowę. Kątem oka dostrzegłam smutek rysujący się na jego obliczu. Zanim jednak zdążyłam się odezwać, podjął opowieść:

– Już następnego dnia drinowie zauważyli różnicę. Mieli więcej sił, dlatego pracowali bez wytchnienia aż do zapadnięcia zmroku. Nawet w najgorętszych godzinach dnia nie opuszczali swoich upraw i ogrodów, a ich rośliny wyglądały lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Wybrani czuli na sobie zaskoczone spojrzenia sąsiadów, co od razu sprawiło im radość. W końcu byli tymi lepszymi. Kolejne dni wyglądały już zupełnie inaczej. Słońce zaczęło im sprawiać ból. Początkowo odczuwali lekkie pieczenie na odsłoniętej skórze, ale po tygodniu nie byli w stanie opuścić cienia. Dlatego zaczęli uprawiać ziemię w nocy. Ich skóra bladła, lecz siły nie opuszczały ramion. Wciąż mogli pracować bez wytchnienia, ale tylko do czasu pojawienia się jutrzeńki. Przez to wzrastała ich frustracja. Najpierw dusili ją w sobie, ale w końcu zaczęli jawnie okazywać. Gdy tylko zapadał zmrok, niszczyli uprawy innych, wpuszczali szkodniki na grządki, deptali kwiaty i hałasowali tak, że po kilku nocach sąsiedzi przepędzili ich z Doliny. Co ciekawe, w Rogulanie doszło do czegoś podobnego. Szkodnik skusił krasnoludy darem widzenia w ciemnościach i większą siłą fizyczną. Przez to część ludu straciła wzrok, ich ręce stały

się nienaturalnie długie, a uszy lekko się wydłużyły i zrobiły szpiczaste na końcach. To ostatnie podobno miało im pomóc w słyszeniu skał, cokolwiek to znaczy. Ci jednak nie zostali wypędzeni. Odeszli sami, bo czuli wstyd, że pozwolili się omamić darami, które ostatecznie stały się ich przekleństwem. Dla krasnoluda ogromną hańbą jest utrata wzroku i siły. A tej drugiej też mieli coraz mniej. Wyrzutkowie obu ras spotkali się na północnych moczarach i tam zamieszkali. Początkowo obok siebie, potem mieszała się w jedną rasę, którą znamy jako gobliny. Charakteryzują się długimi aż do ziemi rękami, dużymi stopami i spiczastymi uszami. Są tak hałaśliwe, że słyszać je na wiele mil. A do tego dokuczają wszystkiemu, co znajdzie się na ich terenie. Czasami są to tylko niegroźne figle, ale w najgorszym wypadku mogą wyprowadzić cię na środek bagien i zostawić. A wiedz, że nie da się przez nie przejść bez znajomości bezpiecznej ścieżki.

– To dobrze, że się na nie nie natkniemy – zauważyłam.

– Mam nadzieję, ale podczas swoich wędrówek nauczyłam się, że szlak nie zawsze wiedzie tak, jak się zaplanowało. Jednak postaramy się ominąć moczary jak najszerszym łukiem... Stój!

Zatrzymaliśmy się gwałtownie. Omal się nie potknęłam o wyrzuszenie na ścieżce. Ledwo zdążyłam chwycić się mrawa dla podtrzymania równowagi.

Z zaskoczeniem zerknęłam na elfa, ale ten bez słowa wyjaśnienia minął Yanesa i już biegł dalej. Ellas zbliżył się i trącił mnie ramieniem, jakby chciał dopytać, co się wydarzyło. Drugi ogier prychnął i stuknął z irytacją kopytem. Cokolwiek wyczuł, zdecydowanie mu się nie podobało.

Spojrzałam pytająco na Losinisa.

– Ludzie – szepnął.

Coś w jego głosie brzmiało niepokojąco. W tej okolicy nie spodziewaliśmy się ludzi – główny trakt znajdował się przecież parę dni drogi od nas. Tu mogliśmy spotkać co najwyżej elfy czy krasnoludy, których kopalnie mieściły się na północ stąd. Odrzuciłam więc myśl, że natkniemy się na żołnierzy Onyksa. Musieliby wpierw przejść przez ziemie elfów, a te raczej by to zauważyły.

– Kto? – dopytałam.

Potrząsnął łbem, a wierchowce nerwowo grzebały w ziemi i prychały. Lepiej ode mnie rozumiały wonne wieści niesione przez wiatr. Wyteżyłam słuch, ale też na próżno. Las żył, jakby nic złego się nie działo. Przeszedł mnie dreszcz, a dłoń sama zacisnęła się mocniej na grzywie mrawa.

– Co się dzieje?

– Nic takiego.

– Losinisie, mów, co wyczułeś.

Zawahał się.

– Śmierć – rzucił krótko, ale zaraz dodał: – Ktoś walczył z ludźmi. I ich pokonał. Reszty pewnie dowiemy się od elfa.

Choć pchały mi się na usta kolejne pytania, pokiwałam głową. Gdyby był w stanie powiedzieć więcej, to by tak uczynił.

– Powiedz tylko, czy Rameti jest bezpieczny.

– Nic mu nie będzie. Poza nim i zwierzętami nie ma tam nikogo żywego.

Jego słowa nieco mnie uspokoiły. Ale i tak z niecierpliwością wyglądałam powrotu elfa. Już nawet chciałam

ruszyć za nim, gdy zjawił się na ścieżce. Z jego kamienne-
go oblicza trudno było mi cokolwiek wyczytać. Zaciskał
usta, jakby nie zamierzał się odezwać przez najbliższe go-
dziny. Nie chciałam jednak dłużej czekać na wyjaśnienia.

– Rameti? – zagadnęłam go, gdy stanął przy Yanesie
i uspokajająco głaskał go po karku.

– Wracamy na tereny El'darum – powiedział. – I nie
opuścimy ich aż do głównego traktu.

– Kogo tam znalazłeś? Co się wydarzyło? – spytałam,
nie zważając na jego słowa. – Podróżujemy razem, powin-
nam wiedzieć.

– To nieistotne, Ariadno – rzucił, po czym zwrócił się
do karego, by przedstawić mu nową trasę.

Znów traktował mnie z przesadną troską. Pewnie jesz-
cze niedawno bym tupnęła nogą, zacisnęła dłonie w pięści
i zażądała wyjaśnień. Czułam jednak, że ta dziewczynka
już nie jest mną.

Przysunęłam się na wyciągnięcie ręki od elfa.

– W El'darum uważałeś, że jestem gotowa do podróży
i tego, co na mnie czeka. Zmieniłeś zdanie? – Choć szalały
we mnie emocje, zdołałam zachować spokojny ton.

Ignorując mnie, dokończył rozmowę z koniem.

– Rameti, proszę.

Westchnął ciężko, ale nawet na mnie nie spojrzał.

– Nie na wszystko jesteś gotowa – rzucił ostrym tonem. –
I na pewno nie na to, co tam znalazłem.

– Nie ochronisz mnie przed wszystkim – zauważyłam
cierpko. – Szaferi nieraz mi powtarzał, że to nie będzie
bezpieczna podróż, więc nie traktuj mnie, jakbym nie była
tego świadoma.

Poza tym odkąd opuściłam Klodri, przeżyłam niejedno. Dwukrotne spotkanie z anapesami, potem z valierim, żołnierzami Onyksa i sarianką to więcej, niż doświadczyli nawet najstarsi mieszkańcy mojej wsi. Lecz nie powiedziałam tego na głos.

– Losinis wspominał o ludziach, których ktoś zabił – dodałam.

Wreszcie się do mnie odwrócił. Z jego oczu bił chłód, jakiego dawno nie widziałam. Niemal mnie zmroziło i le-dwo powstrzymałam się, by rozetrzeć ramiona.

– Nie wiem, co się dokładnie wydarzyło, ale nie podoba mi się to. Jeśli jednak pragniesz wiedzieć, możesz sama tam pójść. – Wskazał ręką kierunek. – Ja nie zamierzam o tym mówić – zakończył ostro.

Nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Spuściłam jedynie głowę i zaczęłam szukać oparcia w mrawie. Ten przesunął się bliżej i dotknął mnie skrzydłem, ale na niewiele się to zdało. Znów doprowadziłam do ochłodzenia relacji w naszej małej grupie, a bardzo zależało mi na tym, by podróż była prawdziwą przyjemnością, a nie przykrym obowiązkiem.

– Przepraszam – szepnęłam. – Ruszajmy dalej.

Rameti jednak nie zrobił nawet kroku. Westchnął ciężko.

– Chcę ci tylko oszczędzić tego, co mogę – zaczął cichym, spokojnym głosem, w którym wyczuwałam jeszcze ślad chłodu. – Podczas własnych podróży sam wiele doświadczyłem i widziałem. Gdy opuszczasz próg domu, nigdy nie wiesz, co cię spotka w drodze. – Urwał na moment. – Tak, znalazłem tam martwych ludzi. Żołnierzy.

– Onyks? – odważyłam się zapytać.

– Nie. Dorknesczycy. Nie da się ich pomylić z nikim innym. Smagli, barczyści, a ich ciała często zdobią malunki. Jest ich prawie tuzin. I wszyscy zginęli od strzał.

Zamarłam. Tylko jeden lud posługiwał się zwykle łukiem jako bronią. Elfy. Ludzie uznawali go za oręż godny tchórza – choć korzystali z pomocy łuczników na polu walki. Zdecydowanie chętniej używali go podczas polowań. Już rozumiałam, dlaczego Rameti był aż tak rozgoryczony znaleziskiem.

– Sądzisz, że to ktoś z twoich pobratymców... – Potrząsnęłam głową. – Nie, niemożliwe. Nie zabijacie przypadkowych ludzi. Zwłaszcza leśne. Wy... wy nas chronicie, pomagacie...

– Wiem – przerwał mi. – Ale to się wydarzyło na naszych ziemiach. A ludzie mają w sobie nasze strzały. Od razu rozpoznałem to ciemne drewno. Nigdzie poza El'darum i Esilum go nie spotkałem. Groty też wyglądają na elfią robotę. Roślinne zawijasy po obu stronach metalu nie mogły wyjść spod innej ręki. I jeszcze lotki wykonane z piór morun. Ich zabił ktoś z moich braci i siostr.

– Może wróg was wrabia.

– Chciałbym w to wierzyć – rzekł. – Odjedźmy stąd czym prędzej.

– A co z zabitymi? Nie pochowamy ich? Nie możemy zostawić ciał na pastwę drapieżników.

– Drapieżniki już zrobiły sobie ucztę.

Poczułam, jak śniadanie podchodzi mi do gardła. Z trudem wzięłam kolejny oddech.

– Zająłem się nimi na tyle, na ile byłem w stanie – kontynuował. – A teraz ruszajmy. Nie zamierzam zatrzymywać

się przed zmrokiem nawet na krótki popas, więc wsiadaj na Yanesa. Bez względu na to, co się tutaj wydarzyło i dlaczego Dorknesczycy zginęli, nie chcę narażać twojego życia. Ktokolwiek do nich strzelał, może równie dobrze obrać ciebie za cel. Dlatego załóż kaptur. Przynajmniej trochę ukryje to, że jesteś człowiekiem.

– Sądzisz, że poluje tylko na ludzi – domyśliłam się. – Dlaczego?

– Bo tak już bywało w dawnych czasach – wyszeptał. – Ruszajmy.

Posłuchałam elfa. Wsiadłam na wierzchowca i po prostu musiałam się rozejrzeć wokół, by się upewnić, czy nic nam nie grozi. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że widzę kogoś za drzewem, ale złudzenie pojawiło się i zniknęło równie szybko, co mnie bynajmniej nie uspokoiło.

– Coś się stało? – spytał Losinis, ledwo ruszyliśmy w drogę.

Zawahałam się. Nie chciałam dzielić się swoim odkryciem, skoro nie miałam pewności, czy rzeczywiście kogoś widziałam. Ale co jeśli ktoś naprawdę tam się czał?

– Chyba kogoś zauważyłam – wyszeptałam tak, by nikt poza moimi towarzyszami nie mógł tego usłyszeć.

– Ja też – odparł Rameti równie cicho, co nie poprawiło mi humoru.

Zerknęłam na elfa. Szedł sztywnym, prędkim krokiem po mojej lewej, a na twarzy utrzymywał maskę powagi. Ale oczy go zdradzały. Dostrzegłam kryjące się w nich troskę i bezradność. Nie wiedział, jak powinien postąpić. Gdyby wędrował samotnie, pewnie spróbowałby złapać nieznanego wroga, poznać jego intencje, a na koniec sprawić, by

już nikomu nie zaszkodził. Omal nie zaproponowałam mu, by tak uczynił. Miałam jednak świadomość, że odmówiłby. Obiecał zadbać o moje bezpieczeństwo w czasie drogi, więc nie mógł ot tak mnie zostawić.

– Na razie tylko nas obserwuje – dodał Losinis. – Jest sam.

– Zwiadowca? – zasugerowałam.

– Albo samotny strzelec. – Wnuk Soratesa poprawił łuk przewieszony przez ramię. – Dla elfa niecały tuzin ludzi nie musi stanowić wielkiego zagrożenia. Szczególnie gdy po jego stronie jest element zaskoczenia. Lepiej przyspieszmy.

Yanes jakby zrozumiał i zwiększył tempo, zanim dałam mu sygnał kolanami. Wtedy poczułam, jak ktoś intensywnie się we mnie wpatruje i zapragnęłam czym prędzej znaleźć kryjówkę. Jeśli rzeczywiście był elfem, wciąż mógł nam bez problemu dotrzymywać kroku.

Wymieniłam spojrzenie z biegnącym obok Rametim i zrozumiałam, że też o tym pomyślał. Rzucił parę słów w swojej mowie, na które ogier od razu zareagował. Z kłusu płynnie przeszedł w galop. Zręcznie omijał wszelkie przeszkody na drodze. Pochyliłam się i wtuliłam w jego grzywę. W myślach prosiłam Custosa, by wróg został daleko z tyłu, by nie zdołał nas dogonić. I przynajmniej na razie moje modlitwy zostały wysłuchane. Nikt do nas nie strzelał i nie czułam się już obserwowana.

Wiatr szumiał mi w uszach. Jedyne, co do mnie docierało, to rytmiczne uderzenia kopyt o ziemię. Obejrzałam się za siebie. Zobaczyłam pędzących za mną Losinisa i Rametiego. Utrzymanie tempa nie sprawiało im większego kłopotu. Wiedziałam jednak, że nie możemy przeforsować ani siebie, ani wierzchowców – zwłaszcza na samym

początku podróży. Jednocześnie pragnęliśmy jak najbardziej oddalić się od zagrożenia. Przygryzłam wargę i rozejrzałam się na boki. Drzewa i krzewy zlewały się w zielono-brązową plamę, przez którą trudno było cokolwiek dojrzeć. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że strzelec pozostał za nami. Wtedy jednak coś świsnęło tuż nad moją głową. Instynktownie szarpnęłam za wodze. Yanes stanął dęba, okręcił się wokół własnej osi i opadł twardo na kopyta. Z trudem zdołałam utrzymać się w siodle. Druga strzała przecięła powietrze. Poczułam lekki podmuch, gdy przelatywała przede mną, a potem grot wbił się w pień.

– Zsiadaj, już! – nakazał mi Rameti, gdy znalazł się obok. Dał znak karemu, by się położył, i to samo polecił mi, gdy tylko zeszałam na ziemię.

Wcisnęłam się w bok konia i starałam ignorować kamiczki wbijające się w skórę.

– Chronj ją – usłyszałam jeszcze, a zaraz potem elf zniknął z pola widzenia.

Losinis legł po mojej drugiej stronie, a Ellas stanął tuż za nami. Znieruchomieliśmy w napięciu i oczekiwaniu. Dochodził do nas szelest liści i trzask gałęzi, gdy ktoś przedzierał się coraz głębiej w las. Dźwięki ucichły, ale po chwili zaczęły się zbliżać.

– Rameti wraca – odezwał się Losinis. – Wróg uciekł.

Żadne z nas nie ruszyło się jednak z miejsca. Podniosłam lekko głowę, by ujrzeć znajomą postać wyłaniającą się zza drzew. Elf trzymał w dłoni miecz, który schował, gdy tylko wszedł na ścieżkę. Grymas gniewu i niezadowolenia majaczył na jego twarzy.

– Powinniśmy go dorwać – odezwał się Losinis. – Jeśli ruszę teraz, zdołam go jeszcze złapać.

– Nie – uciął Rameti. – Wciąż nie wiemy, czy jest sam.

Coś w jego głosie świadczyło, że wątpił, by strzelec miał towarzyszy.

Nic więcej nie mówiąc, podszedł do drzewa, w które wbił się grot. Jednym szarpnięciem wyciągnął strzałę.

Ostrożnie podniosłam się i zerknęłam na nią. Była identyczna co te, o których wspominał elf. Zdobienia na grocie zaślniły w słońcu. Dalej znajdował się ciemnobrązowy promień i podobne barwę pióra.

Rameti podniósł obcą strzałę bliżej nosa.

– Trucizna – rzekł. – Wyciąg z jadu węża drzewnego.

Z tego, co wiedziałam, to zwierzę żyło jedynie w lasach El'darum. Sama nawet miałam okazję go spotkać w dniu, w którym oddział Fenyla przybył do miasta.

– On nie może być nikim stąd – powiedziałam dosyć niepewnie.

– Każdy elf mógł przywołać do siebie węża i zebrać trochę jadu – zauważył mraw. – Nie musi pochodzić z waszego miasta.

– Ale przynajmniej jakiś czas przebywał na naszych ziemiach. – Wnuk Soratesa owinął obcą strzałę kawałkiem tkaniny i wrzucił do swojego kołczanu. – Ktokolwiek to jest, lepiej, by Sorates się o tym dowiedział. Gdy tylko nadarzy się okazja, przekażę mu wieści.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie może wysłać Lesiego, którego zabrał ze sobą w podróż. Ptasiego posłańca widziałam zaledwie parę razy od wyjazdu z El'darum.

Zwykle leciał niedaleko nas między drzewami, ale tak, że prawie go nie dostrzegalam. Zawsze jednak był gotowy, by zjawić się na wezwanie elfa. On z kolei nie zamierzał ryzykować. Jeśli strzelec – z towarzyszami czy bez nich – podążyłby znów za nami, na pewno zadbałby o to, by Lesi nie doleciał do miasta.

– Ruszajmy, zanim wróci.

Losinis upierał się jeszcze, by spróbować złapać strzelca, ale Rameti wybił mu to z głowy. Ze względu na moje bezpieczeństwo nie chciał się nawet zgodzić, by mraw sam podążył za wrogiem.

– Dwie pary oczu i uszu wyłapią więcej niż jedna – zauważył elf. – Poza tym wciąż nie wiemy, czy działa sam, czy nie.

– Ale sądzisz, że nie ma towarzystwa – zauważyłam.

– Tak, dlatego nic nie stoi na przeszkodzie, by za nami szedł. A wtedy naprawdę przyda się każdy, kto jest w stanie dostrzec zagrożenie zawczasu.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem i przysunęłam się bliżej mrawa. Teraz jednak nawet jego obecność nie dodawała mi wiele otuchy.

– Pędzenie na złamanie karku co prawda na niewiele się zdało – kontynuował. – Wolałbym jednak nie zwalniać, więc do wieczora ograniczamy wszelkie postoje. Na razie wróg nie podąża za nami, lecz nie zamierzam mu niczego ułatwiać. Dasz radę wytrzymać w siodle tyle czasu? – spytał mnie z troską.

– Chyba nie mam wyjścia. – Siliłam się na pokrzepiający uśmiech, choć wiedziałam, że całodzienna jazda nie

będzie niczym przyjemnym. Zwłaszcza bez dłuższych przerw. – Spróbuję.

– Mów, jeśli będziesz zbyt zmęczona – rzucił na koniec.

Losinis zamruczał opiekuńczo, więc ścisnęłam delikatnie jego grzywę. Wciąż się jednak bałam, że znów jakaś strzała wyleci zza drzewa i tym razem dosięgnie celu. Dotknęłam klatki piersiowej. Nic z niej nie wystawało, ale lęk mnie nie opuszczał. I tak miało zostać przez najbliższe kilka dni.



Rozdział II

Do wieczora mój nastrój pozostał bez mian. Wciąż zerkiałam ukradkiem na boki, ale tym razem nic nie dostrzegałam w lesie. Wieczorny koncert ptaków powinien mnie uspokoić, jednak nie dodał mi otuchy – ktoś przecież mógł się kryć w mroku. Za to ból w nogach spowodowany całodzienną jazdą pozwalał choć na chwilę myśleć o czymś innym.

Zrezygnowaliśmy z rozpalenia ognia, by blask nie przyciągnął strzelca. Zjedliśmy zimną strawę, którą popiliśmy wodą, potem obejrzałam rany mrawa i zaraz położyliśmy się do snu. Rameti zrezygnował nawet z wieczornej nauki. Chciał, byśmy szybko zasnęli i ruszyli dalej jeszcze przed świtem. Dopiero w drodze zamierzał kontynuować uczenie mnie języków i historii.

Położyłam się na kocu blisko Losinisa i wtuliłam w jego miękkie skrzydło. Mraw cicho zamruczał, jakby chciał mnie ukołysać do snu. Nic jednak nie było w stanie mi pomóc w zapanowaniu nad rozszalałymi myślami. Ta strzała przeleciała tak blisko. Wątpiłam, by obcy elf nie zamierzał

chybić. Coś powstrzymało go przed wycelowaniem grotu prosto we mnie. Może chciał nas jedynie przestrzec przed tym, co się stanie, jeśli będziemy wściubiać nos w jego sprawy? A może upatrzył w nas nową ofiarę i na razie bawił się z nami jak kot myszą, zanim ją pożre?

Usłyszałam cichy szelest. Zamarłam i wstrzymałam oddech. Dłonie mimowolnie zacisnęłam na brzegu koca i uniosłam oczy na czuwającego Rametiego. Siedział obok nas nieruchomo i można by pomyśleć, że zasnął.

– Spokojnie – usłyszałam jego ledwo słyszalny szept.

Przygryzałam wargę. Łatwo było mu powiedzieć. To nie na niego ktoś polował. Wcisnęłam się bardziej w bok Losinisa. Ten odwrócił łeb do mnie i potarł nosem czubek mojej głowy.

Szelest się powtórzył. Czułam, że to nie wiatr. Choć i ten hulał wśród liści drzew, jednak nie schodził na poziom runa. Ktoś się do nas zbliżał i nawet nie starał się iść cicho. Ani Losinis, ani Rameti się nie poruszyli, gdy postać zatrzymała się przy nas. Powinnam się uspokoić, ale po wydarzeniach całego dnia nie przychodziło mi to z łatwością.

– Myślałem, że nie będziecie już obozować tak głęboko w El'darum.

Znałam ten głos, ale dłuższą chwilę musiałam się zastanawiać, zanim dopasowałam go do właściciela. Zalejri. Młody elf z długim srebrnym warkoczem. Z nim, Neresem i Roseną spędzałam sporo czasu w El'darum. Takiej ulgi dawno nie czułam. Wypuściłam koc z dłoni, rozluźniłam się i wzięłam głęboki oddech jak po długim wysiłku.

– Nie zamierzaliśmy, ale pewne okoliczności nas do tego zmusiły – odparł Rameti. – Co tu robisz?

– Elord wysłał mnie na zwiad. Siny z tych terenów ostatnio dziwnie zamilkły. Chciał się upewnić, że nie mamy tutaj znów jakiegoś gościa.

Takiego jak Sanieri. Mimowolnie się uśmiechnęłam na wspomnienie spotkania z nim. Początkowo myśleliśmy, że jest żołnierzem Onyksa. Nie rozumieliśmy tylko, dlaczego siny go tak chronią. Dopiero potem okazało się, że jest elfem potrzebującym pomocy. Wciąż pamiętałam grupkę stworzeń ze zrosniętymi powiekami, podobnych do szczeniaków, które nie chciały nas do niego dopuścić. Były agresywniejsze od sin mieszkających na terenie El'darum, jak choćby Niwe. I zaatakowałyby nas, gdybyśmy zamierzali skrzywdzić, a nie uratować Sanieriego.

– Właśnie mamy – powiedział wnuk Soratesa.

Gdy streszczał naszą dzisiejszą przygodę, usiadłam i oparłam się o bok milczącego Losinisa. Zalejri przysiadł między mną a Rametim. Wysłuchał opowieści uważnie, a na koniec jedynie pokręcił głową.

– I tego Elord się obawiał. Ani trochę spokoju... – mruknął. – Rozumiem, że nie wysłałeś jeszcze wiadomości do Soratesa?

Jakby w odpowiedzi z drzewa sfrunął żółtozielony kształt i przysiadł na ramieniu Rametiego. Nie zamierzał uczestniczyć w rozmowie. Jedynie skulił się po ptasiemu i zasnął.

– Wolałem nie ryzykować. Poza tym Lesi nie uniósłby tego. – Wnuk Soratesa wyciągnął z kołczanu zatrutą strzałę i podał Zalejriemu. Ten obejrzał ją, uważając na grot.

– Jest jednym z nas?

– Tak uważamy, ale nie widziałem go na tyle długo, by to trafnie osądzić. Skrywa twarz pod kapturem.

– Nie, nie może pochodzić z El'darum. – Przyjaciół Neresa pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie miałyby powodu, by was atakować. Ani Dorknesczyków. A jeśli to kolejny elf zastraszony przez Onyksa? Tak jak Sanieri?

– Ale jaki miałyby cel w zabiciu tych ludzi? – wtrąciłam się.

– Taki sam, jak zawsze. Onyks chce wprowadzać zamęt między nami i naszymi sojusznikami – wyjaśnił mi Ramenti. – Właściwe pytanie brzmi, dlaczego Dorknesczycy zjawili się w tych okolicach. Sorates nie wspominał, że spodziewa się ich przybycia. A nie sądzę, by udawali się do krasnoludów z Rogulanu. Ale to nie nasza sprawa – dodał szybko.

Już chciałam powiedzieć, że powinniśmy się tym zająć, ale nie dał mi dojść do głosu.

– Przekaż Soratesowi, co się wydarzyło w lesie – zwrócił się do Zalejriego. – Niech wyśle strażnika, który schwyta strzelca, zanim ten dokona większych szkód. Niech też powiadomi Dorknes o rzezi. A potem przestrzeże żołnierzy Szaferiego, by nie wybierali się na północne tereny El'darum.

Zalejri obracał strzałę w dłoni.

– Bądźcie ostrożni podczas dalszej podróży. – Zwiadowca zerknął przy tym na mnie.

Moja dłoń mimowolnie dotknęła wisiorka z płatkami złotej rokany, który nosiłam na szyi. Kwiat dostałam jeszcze w El'darum od nieznajomego elfa. Był to symbol jego uczucia do mnie. Jednak poza tym i krótką wiadomością nie miałam nic więcej. Żadnego znaku sugerującego, kim jest i dlaczego nie chce ujawnić tożsamości. Miałam nadzieję, że po powrocie w końcu odkryję prawdę. A do tego czasu zamierzałam nosić płatek przy sobie, by

przypominał mi, że kogoś zostawiłam w mieście. Wisiorek dodawał mi otuchy za każdym razem, gdy go dotknęłam.

– Będziemy na siebie uważać. – Głos Rametiego wyrwał mnie z zamyślenia. – Zostajesz z nami czy wracasz?

– Myślę, że przyda wam się pomoc. Pewnie niewiele odpoczęliście przez ostatnie godziny. Śpijcie, a ja wezmę całą wartę.

– Trudno spać, gdy wciąż gadacie – mruknął Losinis.

Nie sposób było się nie uśmiechnąć.

– A już myślałam, że zamieniłeś się w głaz – rzucił Rameti. W jego głosie dało się wyczuć cień żartu.

Mraw prychnął.

– Miłego czuwania – szepnęłam do Zalejriego.

Ułożyłam się wygodnie przy Losinisie, który otulił mnie swoim skrzydłem. Ledwo zamknęłam oczy, a zaraz głęboko zasnęłam. Mimo to nie czułam się zbyt wy-poczęta o poranku, gdy obudził mnie szum znajomych głosów. Nawet nie otworzyłam oczu, ale wsłuchałam się w rozmowę toczoną w elfim. Znałam go w niewielkim stopniu, mimo to udało mi się wychwycić parę znajomych słów. Strzelec, pułapka, człowiek... Nieszczególnie podo-bały mi się te plany.

– Ariadno, co sądzisz? – Zaskoczyło mnie nagłe pytanie Zalejriego. Nie umknęło mu, że już nie śpię.

– Ale o czym? – spytałam ostrożnie, odsunęłam skrzydło mrawa i usiadłam.

– Zamierza złapać strzelca – wyjaśnił mi Losinis. – I wykorzystać człowieka jako przynętę.

Zerknęłam na zachmurzonego Rametiego i zrozumiałam resztę.

– Nie zostanę żywym wabikiem – zaprotestowałam.
– Nic ci się nie stanie. – Młody elf nie wyglądał na zrażonego. – Będziemy w pobliżu.

Rameti też był w pobliżu, chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język. Starał się jak mógł, by dbać o moje bezpieczeństwo. Nie jego wina, że trafił na silniejszego przeciwnika.

– Nie ma mowy. Poza tym od wczoraj już się na niego nie natknęliśmy. Może sobie odpuścił.

Elfy wymieniliły ukradkowe spojrzenia.

– Zjawił się – zaczął poważniej Zalejri. – W nocy, gdy spaliście. Ale przyszedł i odszedł, nic nie robiąc. Pewnie uznał, że nie poradzi sobie ze mną w walce – dodał żartobliwym tonem, ale uśmiech nie objął oczu.

– Dlaczego nie zaatakował? – Zerknęłam na wnuka Soratesa.

Ten wbił wzrok w dal i przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Potem rzekł:

– Może jednak nie zależy mu na śmierci każdego napotkanego człowieka.

Czułam, że nie mówi nam wszystkiego. Czegoś się domyślał. Albo nawet był pewien. Nie zdążyłam już pociągnąć go za język, gdy znów się odezwał:

– I tak powinniśmy zachować ostrożność. – Zatrzymał wzrok na młodym zwiadowcy. – A ty wybij sobie z głowy pomysł narażania Ariadny.

– Nic by jej nie groziło. Przecież strzelec może się znów dzisiaj zjawić. Szkoda byłoby przepuścić okazję. A jeśli go złapiemy, uchronimy innych ludzi przed śmiercią.

Skrzywiłam się, ale jednocześnie nie mogłam się nie zgodzić z myśleniem Zalejriego. Póki obcy elf był na wolności, prawdopodobnie każdy człowiek musiał się mieć na baczności.

– Nie, ruszasz zaraz do El'darum, by przedstawić wieści Soratesowi – rzucił oschle Rameti. Jego oczy ciskały błyskawice. Niewiele brakowało, by doszło do rękoczynów. – Im szybciej się dowie, tym szybciej będzie mógł podjąć odpowiednie działanie.

Choć Losinis przez całą rozmowę wołał pozostać bezstronny, wiedziałam, że ja nie powinnam.

– Rameti ma rację – zaczęłam, a Zalejri spojrzał na mnie z wyrzutem. – I ty też. Trzeba czym prędzej zadbać, by strzelec nikomu nie zagrażał. Ale my mamy zadanie, którego nikt za nas nie wykona. Dlatego musisz przekazać Soratesowi wszystko, co wiemy. On już znajdzie rozsądne rozwiązanie.

Zdołałam nieco załagodzić sytuację. Mój przewodnik wciąż jednak traktował młodego elfa nieprzychylnie. Zwłaszcza że Zalejri nie umiał się ot tak wycofać ze swojego pomysłu.

– Ale przez to stracimy cenny czas.

– Jeśli rzeczywiście jest elfem, pułapka nie ma sensu. Nie da się nabrać. A nie chcę sprawdzać, czy kolejna jego strzała dosięgnie celu. – Głos Rametiego mógłby zamrozić największe jezioro na Kontynencie.

– Ja też... Ale nie możemy mu pozwolić na zabijanie ludzi.

– Dlatego powinienes już ruszać.

Rameti zdawał się uważać temat za zakończony. Zabrał się za oporządzenie koni, a mnie rzucił kawałek pieczonego placka z poprzedniego dnia. Tym razem nie miałam odwagi się odezwać i przerwać ciężkiej atmosfery. Spojrzałam jedynie pokrępiąco na Zalejriego, a ten skinął głową. Cicho się z nami pożegnał i już go nie było.

Gdy tylko zjadłam, zabrałam się do obejrzenia łapy Losinisa. Rany zaczęły się goić, ale na wszelki wypadek posmarowałam je jeszcze raz maścią z cenery i owinęłam świeżym materiałem. To też odbyło się w całkowitym milczeniu.

– Wsiadaj na Yanesa. – Rameti podał mi wodze.

Nie uśmiechała mi się podróż podobna jak poprzedniego dnia. Wiedziałam jednak, że w obecnej sytuacji nie mamy innego wyjścia. I już próbowałam oswoić się z myślą o tym, jak moje ciało zniesie jazdę.

– Zbyt surowo go potraktowałeś – odezwałam się cicho.

– Jego lekkomyślność kiedyś sprowadzi na niego kłopoty. Albo na kogoś, kto znajdzie się w pobliżu.

– Chciał pomóc...

– Zaczęła ci odpowiadać rola przynęty?

– Nie... – mruknęłam.

Nie widziałam jeszcze Rametiego w takim stanie. Jak na elfa, który nie przepada za ludźmi – poza paroma wyjątkami – bardzo się przejął rolą mojego obrońcy w tej podróży.

Bez słowa wsiadłam na grzbiet Yanesa. Elf zajął miejsce po lewej stronie, a Losinis po prawej. Ten ostatni niewiele się odzywał. Nie dziwiłam się. Nie chciał wprowadzać jeszcze gęstszej atmosfery.

Wodze trzymałam luźno, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę. Kary ogier wiedział, dokąd zmierzamy, więc nie

musiałam przejmować się jego prowadzeniem. Ellas szedł za nami, niosąc cały nasz ekwipunek poza torbą z ziołami, z którą się nie rozstawałam. Przypomniałam sobie o książeczce z przepisami, którą dostałam przed wyjazdem od Pteisela. Już pierwszego dnia przewertowałam ją parę razy, by pokrótce poznać receptury i wiedzieć, na co mogą mi się przydać, ale jeszcze nie musiałam z nich korzystać. I miałam nadzieję, że tak pozostanie.

– Przepraszam – usłyszałam nagle po swojej lewej. Pomyślałam, że to tylko złudzenie, ale wtedy Rameti powtórzył: – Przepraszam.

Odwrociłam nieznacznie głowę w jego kierunku. Zaciśnął usta w wąską linię, jakby żałował wypowiedzianego dwukrotnie słowa.

– Chyba nie mnie powinieneś przeproszać – szepnęłam.

– Ciebie też. – Zauważyłam, że mówienie przychodzi mu z trudem. – Przykro mi z powodu całej tej sytuacji, ale obiecałem, że zadbam o twoje bezpieczeństwo. Nie mogę pozwolić, byś była wystawiona na zagrożenie.

– Rozumiem, ale nie musiałeś się tak unosić.

Chciał coś powiedzieć, jednak się powstrzymał.

– Pewnie masz rację – rzekł w końcu.

Milczenie znów zamieszkało między nami. Słyszałam jedynie miarowy krok koni, ptaki buszujące wśród liści razem z wiatrem, a gdy się wsłuchałam, wyłapywałam też dźwięki wydawane przez innych mieszkańców lasu: skrobienie, szelest, lekki chód. I nic, co wskazywałoby, że ktoś znów podąża naszym śladem. Nie wiedziałam, czy powinienam się tym cieszyć, czy podwoić czujność.

Zerknęłam kątem oka na boki, ale nic nie dostrzegłam. Wysokie drzewa zdawały się nie skrywać za sobą żadnego wroga. Czy to człowieka, czy elfa. Rosnące gdzieś tam krzewy także wyglądały niewinnie, choć mogły stać się schronieniem dla obserwatora. Promienie słońca oświeślały las jasną łuną, jakby chciały odegnać wszelki cień, w którym mógłby schować się przeciwnik. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie i bezpiecznie, jak zaraz po opuszczeniu murów El'darum. Jednak nie zamierzałam się łudzić, że strzelec – sam lub nie – odpuścił.

– Domyślasz się, kim może być? – spytałam wtem.

– Kimkolwiek – odparł Rameti. – Wyrzutek, wypędzony, który toczy osobisty spór z ludźmi.

Znów nie mówił wszystkiego.

– Nie masz pomysłu, kim dokładnie może być? – doprecyzowałam. – Nie natknąłeś się podczas swoich podróży na kogoś, kto nienawidził ludzi?

Losinis parsknął.

– Właśnie opisałaś krótko każdego górskiego – rzekł. – Jedyna różnica polega na tym, że żaden z nich nie używa łuku. Gdyby mieli atakować ludzi, użyliby magii.

Nienawiść górskich do ludzi podobno sięgała czasów, gdy elfy przybyły na Kontynent. Niektóre z nich spodziewały się, że zostaną powitane z otwartymi ramionami, bo – ich zdaniem – człowiek zawdzięczał im wszystko, co sam potrafił. Jednak zamiast z gościnnością spotkały się z pogardą. Jakiś czas później doszło do rozłamu wśród elfów. Większość pragnęła mimo wszystko doprowadzić do zgody, inne wołały wybić całą rasę ludzką. To właśnie one przeniosły się w góry i zaczęły parać się magią.

– Więc z pewnością nie będzie to nikt z Zenobii.

– Chyba że przerzucił się z mocy na broń dystansową – dodał elf. – Ale wątpię. Nie znam górskiego, który z własnej woli zrezygnowałby z magii. Bez niej są prawie bezbronni. A co do twojego pytania, mógłbym wskazać kilkoro leśnych. Jednak to nie czas, by rzucać oskarżeniami. Pozostawmy sprawę strzelca Soratesowi i skupmy się na naszym zadaniu. Musisz się jak najlepiej przygotować, zanim dotrzemy do ekidów. – Płynnie przeszedł do kolejnej lekcji.

Nie umiałam tak prędko wyrzucić z głowy myśli o wrogu. Może i nie zabił nas podczas snu. Może i nie czułam na sobie jego wzroku. Może i rzeczywiście zostawił nas już w spokoju. Jednak od opuszczenia Kłodri nauczyłam się, że ostrożności nigdy dosyć.

